

TAJEMNICZY OGRÓD

Aristide Valentin, szef paryskiej policji, spóźniał się na własne przyjęcie i niektórzy goście zaczęli się zjeżdżać wcześniej niż on. Uspokajał ich jednak zaufany służący Valentina, Ivan, starszy człowiek z blizną, o twarzy niemal tak samo szarej jak jego siwe wąsy, siedzący zawsze przy stole w sieni obwieszanej bronią. Dom Valentina był chyba równie osobiwy i sławny jak jego właściciel. Był to stary budynek na samym brzegu Sekwany, otaczał go wysoki mur i strzeliste topole; jednakże osobiwość – i być może wartość policyjną – jego architektury stanowiło to, że nie było z niego innego wyjścia na ulicę poza frontowymi drzwiami strzeżonymi przez Ivana i kolekcję broni. Ogród był duży i wymyślnie zaprojektowany, a prowadziły do niego liczne drzwi. Żadna furtka nie wiodła jednak z ogrodu na zewnątrz; ze wszystkich stron otaczał go wysoki, gładki, nieprzebyty mur opatrzony specjalnymi kolcami na szczycie; niegorsze miejsce rozmyślań dla człowieka, któremu około stu przestępców poprzysięgło śmierć.

Jak wyjaśnił Ivan przybyłym gościom, ich gospodarz dzwonił, że został na dziesięć minut zatrzymany w pracy. W rzeczywistości musiał poczynić ostatnie przygotowania do egzekucji i temu podobnych okropieństw; a choć obowiązki te budziły w nim głęboką odrazę, zawsze wypełniał

je jak najdokładniej. Bezwzględny w ściganiu przestępców, okazywał wielką łagodność w ich karaniu. Jako że nadzorował francuskie – i w ogóle europejskie – metody działania policji, robił ze swoich wielkich wpływów dobry użytek, dążąc do łagodzenia wyroków i porządkowania więzień. Należał do wielkich francuskich wolnomyślicieli-humanitarystów, których jedyna wada polega na tym, że ich miłosierdzie jest zimniejsze od sprawiedliwości.

Kiedy Valentin pojawił się wreszcie, miał już na sobie czarny wieczorowy strój z czerwoną rozetą w klapie – prezentował się elegancko, a jego ciemna broda była tu i ówdzie naznaczona siwizną. Przeszedł przez dom wprost do swojego gabinetu na tyłach budynku. Drzwi do ogrodu stały otworem i kiedy sumiennie odłożył na miejsce i zarygłował swój kuferek, na kilka sekund zatrzymał się w nich, by popatrzeć na ogród. Ostry sierp księżyca walczył z sunącymi szybko, porwanymi strzęgami burzowych chmur i Valentin przyglądał się mu w niezwykłej jak na człowieka nauki zadumie. Być może ludzie tego rodzaju mają jakieś wewnętrzne przeczucie najpoważniejszego problemu ich życia. W każdym razie Valentin szybko otrząsnął się z tej atmosfery nadprzyrodzoności, bo wiedział, że jest spóźniony, i że goście zaczęli się już schodzić. Rzut oka na salon, gdy do niego wszedł, wystarczył jednak, by przekonać się, że przynajmniej główny zaproszony jeszcze się nie zjawił. Dostrzegł wszystkie pozostałe filary przyjęcia – był tam lord Galloway, angielski ambasador, stary choleryk o twarzy przypominającej rumiane jabłko, przystrojony błękitną wstęgą Orderu Podwiązki. Zobaczył lady Galloway, szczupłą jak niteczka, z siwymi włosami i wrażliwą, wyniosłą

twarzą. Zauważył jej córkę, lady Margaret Graham – bladą, ładną dziewczynę o twarzy wróżki i włosach koloru miedzi. Ujrzał księżnę Mont St. Michel, o czarnych oczach i obfitych kształtach, z dwiema córkami, równie czarnookimi i krągłymi jak ona. Dostrzegł doktora Simona, typowego francuskiego naukowca w okularach, ze szpiczastą brązową bródką i czołem pobrużdżonym poziomymi zmarszczkami, które są ceną zarozumiałości, bowiem biorą się z ciągłego unoszenia brwi. Zobaczył księdza Browna z miejscowości Cobhole w hrabstwie Essex, niedawno poznanego w Anglii. Spostrzegł – z większym być może zainteresowaniem niż pozostałych gości – wysokiego umundurowanego mężczyznę, który skłonił się państwu Galloway, a nie doznawszy serdecznego przyjęcia, właśnie zbliżał się w pojedynkę, by złożyć wyrazy uszanowania gospodarzowi. Był to komendant O'Brien z francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Oficer miał szczupłą sylwetkę i nieco arogancki wygląd, gładko wygoloną twarz, ciemne włosy i niebieskie oczy, a przy tym – jak przystało na oficera pułku słynącego ze zwycięskich porażek i udanych samobójstw – robił wrażenie zarazem buńczuczne i melancholijne. Z urodzenia był irlandzkim arystokratą i we wczesnej młodości znał Gallowayów, a zwłaszcza Margaret. Opuścił kraj z powodu jakiejś katastrofy finansowej i teraz manifestował całkowitą niezależność od angielskiej etykiety, przechadzając się swobodnie w pełnym umundurowaniu, z szablą i ostrogami. Kiedy uklonił się rodzinie ambasadora, lord i lady Galloway odклонili się sztywno, a lady Margaret odwróciła wzrok.

Bez względu na to, z jakich dawnych powodów ludzie ci mogli się sobą interesować, ich znamienity gospodarz nie

interesował się nimi wcale. W każdym razie żadna z tych osób nie była w jego oczach najważniejszym gościem wieczoru. Valentin oczekiwał, ze szczególnych powodów, człowieka światowej sławy, którego przyjaźń zaskarbił sobie w czasie jednego ze swoich triumfalnych detektywistycznych tournée po Stanach Zjednoczonych. Spodziewanym gościem był multimilioner Julius K. Brayne, którego kolosalne, a nawet katastrofalne dotacje na rzecz pomniejszych religii dostarczały tylu okazji do łatwych żartów i jeszcze łatwiejszych peanów na łamach angielskich i amerykańskich gazet. Nikt nie mógł się do końca zorientować, czy pan Brayne jest ateistą, wyznawcą Chrześcijańskiej Nauki czy mormonem. Nie wahał się on jednak przelewać strumienia gotówki do jakiegokolwiek kielicha intelektu, pod warunkiem, że kielicha tego jeszcze nikt nie wypróbował. Do jego zamiłowań należało wyczekiwanie na amerykańskiego Szekspira – było to hobby wymagające większej cierpliwości niż wędkarstwo. Podziwiał Walta Whitmana, ale uważał, że niejaki Luke P. Tanner z miasteczka Paris w Pensylwanii jest o wiele bardziej „postępowy” niż Whitman. Podobało mu się wszystko, co uznawał za „postępowe”. Valentin także uważał za „postępowego”, przez co wyrządzał mu wielką niesprawiedliwość.

Fizyczne pojawienie się Juliusa K. Brayne’a w salonie było równie znaczące jak dźwięk dzwonka na obiad. Miał on tę wspaniałą cechę, którą niewielu z nas może się poszczycić, że jego obecność dorównywała jego nieobecności. Był to olbrzymi mężczyzna, równie gruby, co wysoki, ubrany w wieczorową czerń, której nie rozjaśniał nawet błysk dewizki ani sygnetu. Białe włosy miał z niemiecka za-

czesane do tyłu; jego twarz była rumiana, zacięta i puciołowata jak u cherubina, a pojedyncza czarna kępka włosów pod dolną wargą nadawała tej dość dziecinnej fizjonomii wygląd teatralny, a nawet diaboliczny. Salon niedługo jednak mierzył słynnego Amerykanina wzrokiem; jego spóźnienie przysporzyło już kłopotów służbie, więc jak najszybciej odesłano go do jadalni z lady Galloway wspartą na jego ramieniu.

Państwo Galloway byli całkiem sympatyczni i towarzyscy, jeśli nie liczyć drobnego wyjątku. Dopóki lady Margaret nie szła na obiad pod ramię z tym awanturnikiem O'Brienem, jej ojciec był całkiem zadowolony; ona zaś poszła bardzo stosownie w towarzystwie doktora Simona. Mimo to stary lord Galloway zachowywał się niespokojnie i niemal opryskliwie. Podczas obiadu wykazywał się jeszcze pewną dyplomacją, ale kiedy podano cygara i trzech młodzi ludzie – doktor Simon, ksiądz Brown i ten szkodnik O'Brien, banita w obcym mundurze – odeszli, by dotrzymać towarzystwa damom albo zapalić w oranżerii cygara, resztki dyplomacji opuściły angielskiego dyplomate. Co sześćdziesiąt sekund atakowała go myśl, że ten łobuz O'Brien może wysyłać jakieś sygnały Margaret; nie próbował sobie nawet wyobrazić, jak mógłby to zrobić. Lord Galloway pił kawę w towarzystwie Brayne'a, siwego Jankesa wierzącego we wszystkie religie i Valentina, szpakowatego Francuza niewierzącego w żadną z nich. Tamci mogli się spierać ze sobą, ale argumenty żadnego z nich nie przemawiały do ambasadora. Po jakimś czasie arsenał tej „postępowej” bitwy na słowa wyczerpał się; lord Galloway również wstał od stołu i ruszył do salonu. Sześć czy osiem minut błąkał się

długimi korytarzami, aż wreszcie usłyszał wysoki, mentor-ski głos doktora, potem monotonny głos księdza, a po nim ogólny wybuch śmiechu. Zaklął w myślach; oni także zapewne spierali się o „naukę i religię”. Jednakże otworzywszy drzwi do salonu, zobaczył tylko jedno – to, czego w nim nie było. Zauważył brak komendanta O'Briena oraz brak lady Margaret.

Opuściwszy w zniecierpliwieniu salon, podobnie jak wcześniej opuścił jadalnię, lord Galloway znów ruszył długim korytarzem. Myśl o obronie córki przed irlandzko-algierskim nicponiem pochłaniała go, a nawet przyprawiała o szaleństwo. Zmierzając na tyły domu, gdzie mieścił się gabinet Valentina, ze zdumieniem natknął się na swoją córkę, która minęła go blada, z pogardliwą miną, co było dla niego kolejną zagadką. Jeśli była z O'Brienem, to gdzie się podział O'Brien? Jeśli nie była z O'Brienem, to gdzie właściwie była? Z jakąś starczą, gwałtowną podejrzliwością lord Galloway brnął po omacku przez ciemne tyły domu, aż wreszcie natrafił na wiodące do ogrodu drzwi dla służby. Księżyc swoim zakrzywionym ostrzem zdążył już porozrywać i rozgonić ostatnie pozostałości burzy. Srebrzysty blask rozlewał się po wszystkich zakątkach ogrodu. Ktoś wysoki, ubrany na niebiesko, szedł przez trawnik ku drzwiom gabinetu; księżyc załśnił na srebrnych wyłogach munduru zdradzając tożsamość komendanta O'Briena.

Oficer zniknął w otwartych drzwiach i wszedł do domu, zostawiając lorda Gallowaya w trudnym do opisanego, nieuchwytnym nastroju. Srebrzysto-błękitny ogród, niczym scena w teatrze, zdawał się prowokować go całą tą prze-możną uczuciowością, z którą walczył jego ziemski autory-

tet. Długi, lekki krok Irlandczyka rozsierdzał go jak rywala, a nie jak ojca; światło księżyca doprowadzało go do szaleństwa. Jakiś czar uwięził go jakby w ogrodzie trubadurów, w zakłętej krainie z obrazów Watteau, i lord Galloway, chcąc rozproszyć dźwiękiem słów te sentymentalne głupoty, ruszył żwawo za swoim przeciwnikiem. Ledwie to uczynił, potknął się o jakąś leżącą w trawie kłodę czy też głaz; przyjrzał się tej przeszkodzie najpierw z irytacją, a potem z ciekawością. W następnej chwili księżyc i wysokie topole stały się świadkami niezwykłego widoku – oto angielski dyplomata w podeszłym wieku pędził ile sił w nogach, nawołując czy raczej wrzeszcząc w biegu.

Jego schrypnięte okrzyki przyciągnęły do drzwi gabinetu bladą twarz, lśniące okulary i zmarszczone czoło doktora Simona, który usłyszał pierwsze artykułowane słowa arystokraty. Lord Galloway krzyczał:

– W trawie jest trup, krwawy trup!

O'Brien ostatecznie wywietrzył mu z głowy.

– Musimy natychmiast zawiadomić Valentina – powiedział doktor, gdy tamten opisał mu urywanymi zdaniami wszystko, co odważył się zbadać. – To szczęście, że jest na miejscu. – Jeszcze to mówił, gdy wielki detektyw wszedł do gabinetu zaalarmowany krzykiem. Niemal zabawnie było obserwować jego typową przemianę: przyszedł jako zaniepokojony gospodarz przyjęcia i gentleman, obawiając się, że któryś z gości lub służących jest chory. Ale kiedy powiedziano mu o krwawym wydarzeniu, zmienił się – nie tracąc dotychczasowej powagi – w pogodnego profesjonalistę; bowiem właśnie takie sprawy, choćby najbardziej niespodziewane i przerażające, należały do jego profesji.

– To dziwne, panowie – powiedział, gdy spieszyli razem do ogrodu – że goniłem za zagadkami po całym świecie, a teraz jedna postanowiła się zatrzymać na moim podwórku. Ale gdzie to jest?

Szli przez trawnik tym razem z pewną trudnością, bowiem znad rzeki zaczęła podnosić się lekka mgła; ale idąc za przewodem roztrzęsionego Gallowaya znaleźli zapadnięte w wysoką trawę ciało bardzo wysokiego, barczystego mężczyzny. Leżał twarzą w dół, widzieli więc tylko tyle, że ramiona ma opięte czarnym materiałem, a głowę całkiem łąsą, jeśli nie liczyć jednego czy dwóch kosmyków brązowych włosów, które przyłgnęły do czaszki jak mokre wodorosty. Od strony niewidocznej twarzy sączyła się czerwona strużka krwi.

– Przynajmniej – powiedział Simon głębokim, szczególnym tonem – nie jest to nikt z naszego towarzystwa.

– Proszę go zbadać, doktorze – zawołał raczej ostro Valentin – może jeszcze żyje!

Doktor pochylił się nad ciałem.

– Jeszcze całkiem nie ostygł, ale obawiam się, że raczej nie żyje – odpowiedział. – Pomóżcie mi go podnieść, panowie.

Unieśli go ostrożnie o cal nad ziemię i wszystkie wątpliwości co do tego, czy mężczyzna żyje czy umarł, rozwiały się natychmiast i to w przerażający sposób. Głowa odpadła od ciała. Była całkowicie odrąbana; ktokolwiek poderżnął nieszczęśnikowi gardło, zdołał także przeciąć mu kark. Nawet Valentin był lekko wstrząśnięty.

– Musiał być silny jak goryl – wymamrotał.

Nie bez drżenia, choć nawykły do anatomicznych aberracji, doktor Simon podniósł odciętą głowę. Kilka nacięć wid-

niało na szyi i brodzie, ale twarz pozostała stosunkowo nie-
tknięta. Była to żółtawa twarz, równocześnie zapadnięta
i nabrzmiała, z orlim nosem i ciężkimi powiekami – twarz
złego rzymskiego cesarza, nasuwająca być może również
nikłe skojarzenie z cesarzem Chin. Wszyscy obecni najwy-
raźniej przyglądali się jej z osłupieniem. Niczego więcej nie
udało się im stwierdzić poza tym, że po podniesieniu ciała
ukazała się ich oczom biała plama wieczorowej koszuli
oszepecona czerwoną plamą krwi. Jak zauważył doktor Si-
mon, człowiek ten nie brał udziału w przyjęciu. Ale
być może próbował do niego dołączyć, bo ubrany był sto-
sownie na taką okazję.

Valentin ukląkł i z największą zawodową uwagą badał na
czworakach trawę i ziemię wokół ciała w promieniu może
dwudziestu jardów, w czym asystowali mu mniej zręczny
doktor i całkiem roztargniony angielski arystokrata. Nic nie
wynagrodziło ich uniżenia poza kilkoma gałązkami, poła-
manymi czy też pociętymi na bardzo drobne kawałki, które
Valentin podniósł, poddał szybkim oględzinom, a potem
wyrzucił.

– Gałązki – stwierdził z powagą. – Parę gałązek i całkiem
obcy człowiek z odciętą głową; to wszystko, co jest na tym
trawniku.

Zapadła niemal upiorna cisza, gdy nagle wciąż roztrzę-
siony Galloway krzyknął przeraźliwie:

– Kto to? Kto tam stoi pod murem ogrodu?

Niewielka postać z absurdalnie dużą głową zbliżyła się
do nich niepewnie w prześwietlonej księżycem mgłę; przez
chwilę wyglądała jak goblin, ale w końcu okazała się nie-
szkodliwym małym księdzem, którego zostawili w salonie.

– I co wy na to? – przemówił cicho duchowny. – Ten ogród w ogóle nie ma furtki.

Czarne brwi Valentina ściągnęły się z pewnym rozdrażnieniem, jak zwykle na widok sutanny. Był jednak zbyt uczciwy, by odmówić tej uwadze słuszności.

– To prawda – powiedział. – Zanim ustalimy, w jaki sposób ten człowiek stracił życie, może powinniśmy ustalić, jak tu się znalazł. Posłuchajcie, panowie. Jeśli nie spowoduje to uszczerbku dla mojego stanowiska i pozycji służbowej, możemy się chyba zgodzić, że pewne wybitne nazwiska nie powinny być związane z tą sprawą. Są wśród nas damy, jest też ambasador obcego państwa. Jeśli dojdziemy do wniosku, że popełniono zbrodnię, trzeba ją będzie zbadać jak zbrodnię. Ale póki co, mogę działać na własną rękę. Jestem szefem policji; jestem osobą tak bardzo publiczną, że mogę sobie pozwolić na odrobinę prywatności. Za wolą nieba oczyszczę wszystkich moich gości z podejrzeń, zanim wezwę swoich ludzi, aby szukali kogoś innego. Panowie, żaden z was pod słowem honoru nie opuści tego domu do jutra w południe; dla wszystkich znajdują się pokoje. Doktorze Simon, chyba wie pan, gdzie znaleźć mojego służącego Ivana; to zaufany człowiek. Proszę mu powiedzieć, żeby zostawił na straży innego służącego, a sam natychmiast przyszedł do mnie. Lordzie Galloway, jest pan z pewnością najlepszą osobą, by powiadomić damy o tym, co zaszło i zapobiec panice. One także muszą pozostać. Ksiądz Brown i ja zostaniemy z ciałem.

46 Kiedy przez Valetina przemawiał duch przywódcy, jego głos działał na wszystkich jak sygnał trąbki wzywającej do boju. Doktor Simon udał się do domowego arsenału i wprawił w ruch Ivana, który był prywatnym detektywem

urzędowego detektywa. Galloway wrócił do salonu i przekazał straszną nowinę w sposób wystarczająco taktowny, tak że gdy zebrano się tam ponownie, nieco wystraszone damy zdążyły się już uspokoić. Tymczasem pocziwy ksiądz i pocziwy ateista stali jeden u stóp, drugi u głowy nieboszczyka leżącego bez ruchu w trawie, jak dwa posągi symbolizujące dwie przeciwstawne teorie śmierci.

Ivan, zaufany człowiek z blizną i wąsami, wypadł z domu jak kula armatnia i pognął przez trawnik do Valentina niczym pies do swego pana. Domowa zagadka kryminalna ożywiła i zarumieniła jego pobladłą twarz, a gorliwość, z jaką poprosił swego pana o pozwolenie zbadania zwłok, miała w sobie coś nieprzyjemnego.

– Tak, Ivanie, obejrzyj je, jeśli chcesz – powiedział Valentin. – Ale pospiesz się. Musimy wejść do środka i rozpracować to w domu.

Ivan podniósł odciętą głowę nieboszczyka i o mało znów jej nie upuścił.

– Ależ – wykrztusił – przecież to... nie, nie, to niemożliwe. Czy zna pan tego człowieka, proszę pana?

– Nie – odparł obojętnie Valentin – lepiej wejdźmy do środka.

Wspólnymi siłami przenieśli ciało na sofę w gabinecie, a potem razem przeszli do salonu.

Detektyw nawet się nie zawahał. Usiadł cicho przy stole, ale jego stalowy wzrok przypominał spojrzenie sędziego zasiadającego w trybunale. Zrobił kilka szybkich notatek na leżącej przed nim kartce papieru, a potem zapytał krótko:

– Czy wszyscy już są?

– Brakuje pana Brayne’a – zauważyła księżna Mont St. Michel, rozglądając się dookoła.

– Tak – potwierdził lord Galloway nieprzyjemnym, ochrypłym głosem. – I zdaje się, że pana Neila O'Briena także nie ma. Widziałem tego gentlemana, jak przechadzał się w ogrodzie, gdy trup był jeszcze ciepły.

– Ivanie – polecił detektyw – idź i sprowadź tu komendanta O'Briena i pana Brayne'a. Wiem, że pan Brayne kończy cygaro w jadalni, a komendant O'Brien chodzi zdaje się tam i z powrotem po oranżerii. Nie jestem tego pewien.

Wierny sługa znikł z pokoju i zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć albo odezwać, Valentin kontynuował swoje wyjaśnienia w żołnierskim skrócie...

– Jak wszystkim wiadomo, w ogrodzie znaleziono ludzkie zwłoki z głową całkowicie oddzieloną od ciała. Doktorze Simon, zbadał pan ciało. Czy pańskim zdaniem przecięcie ludzkiej szyi w ten sposób wymagałoby wielkiej siły? Czy tylko bardzo ostrego noża?

– Powiedziałbym, że w ogóle nie dałoby się tego zrobić nożem – odparł pobladły doktor.

– Czy przychodzi panu na myśl – pytał dalej Valentin – jakieś narzędzie, którym można by tego dokonać?

– Jeśli mówimy o współczesnych narzędziach, to raczej nie – powiedział doktor, marszcząc zbolące czoło. – Niełatwo ściąć głowę nawet w bardzo toporny sposób, a to cięcie było bardzo czyste. Można by to zrobić toporem wojennym albo dawnym toporem katowskim, albo starym dwuręcznym mieczem.

– Ależ, wielkie nieba! – wykrzyknęła niemal histerycznie księżna. – Przecież nie ma tu nigdzie w pobliżu żadnych dwuręcznych mieczy ani toporów wojennych!

Valentin nadal notował coś z przejęciem na leżącej przed nim kartce.

– Proszę mi powiedzieć – spytał nie przerywając pospiesznego pisania – czy dałoby się to zrobić długą, francuską kawaleryjską szablą?

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, które, nie wiedzieć czemu, ścięło wszystkim krew w żyłach jak pukanie w „Mak-becie”. W śmiertelnej ciszy doktor Simon zdołał powiedzieć:

– Szablą... tak, chyba byłoby to możliwe.

– Dziękuję – powiedział Valentin. – Proszę wejść!

Wierny Ivan otworzył drzwi i zaprosił do środka komendanta O'Briena, którego ostatecznie znalazł blakającego się znowu po ogrodzie.

Irlandzki oficer, rozchełstany i zuchwały, stanął w progu.

– Czego ode mnie chcecie? – wykrzyknął.

– Proszę usiąść – odezwał się Valentin miłym, spokojnym głosem. – O, nie ma pan szabli. Gdzie się podziała?

– Zostawiłem ją na stole w bibliotece – odparł O'Brien; ze wzburzenia mówił teraz z wyraźniejszym irlandzkim akcentem. – Zawadzała mi tylko, nie mogłem z nią...

– Ivane – znów przemówił Valentin – idź proszę i przynieś szablę pana komendanta z biblioteki. – A potem, gdy służący wyszedł, dodał: – Lord Galloway widział pana opuszczającego ogród na chwilę przed tym, jak znalazł ciało. Co pan robił w ogrodzie?

Komendant opadł niedbale na krzesło.

– Och – zawołał już całkiem z irlandzka – podziwiałem księżyc. Obcowałem z naturą, *me bhoy*.

Przytłaczająca cisza przeciągała się, aż wreszcie rozległo się znów przerażające pukanie do drzwi. Ivan wrócił z pustą stalową pochwą.

– Nie znalazłem nic więcej – oznajmił.

– Połóż to na stole – powiedział Valentin nie podnosząc wzroku.

W pokoju zapadła niehumanitarna cisza, jaka zwykle panuje wokół ławy oskarżonych, na której zasiada morderca. Słabe okrzyki księżnej już dawno umilkły. Nabrzmiała nienawiść lorda Gallowaya została zaspokojona, a raczej zmiętygowana. Głos, który rozległ się potem, zaskoczył wszystkich.

– Może ja potrafię wyjaśnić – odezwała się lady Margaret czystym, drżącym głosem, jakim publicznie przemawia odważna kobieta – co pan O'Brien robił w ogrodzie, jako że on zobowiązany jest do milczenia. Prosił mnie o rękę. Odmówiłam mu. Powiedziałam, że w mojej sytuacji rodzinnej mogę go tylko obdarzyć szacunkiem. Trochę go to rozzłościło, chyba mój szacunek niezbyt go zadowolił. Ciekawe – dodała z bladym uśmiechem – czy teraz go zadowoli. Bo nawet teraz darzę go szacunkiem. Mogę przysiąc przed każdym, że ten człowiek nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

Lord Galloway ukradkiem przysunął się do córki i próbował ją powstrzymać, przemawiając, jak mu się zdawało, dyskretnym szeptem.

– Trzymaj język za zębami, Maggie – huknął półgłosem.
– Dlaczego miałabyś kryć tego człowieka? Gdzie jest jego szabla? Gdzie jego cholerna kawaleryjska...

Przerwał uciszony niezwykłym spojrzeniem, które utkwiła w nim córka i które swą niesamowitością przykuło uwagę wszystkich zebranych.

– Ty stary głupcze – powiedziała cicho, nie siląc się na zachowanie pozorów dobrego wychowania – co próbujesz w ten sposób udowodnić? Mówię ci, że ten człowiek był

niewinny, kiedy był ze mną. A jeśli nie był niewinny, to i tak był ze mną. Jeśli zamordował kogoś w ogrodzie, to kto musiałby to widzieć... kto musiałby przynajmniej o tym wiedzieć? Czy tak bardzo nienawidzisz Neila, że gotów jesteś poświęcić własną córkę...

Lady Galloway wrzasnęła. Wszystkich przeniknęła dreszcz bliskości piekielnych tragedii, jakie od wieków rozgrywają się między kochankami. Patrzyli na dumną, bladą twarz szkockiej arystokratki i jej ukochanego, irlandzkiego awanturnika, jak na stare portrety wiszące w mrocznym pokoju. Długie milczenie wypełniały niejasne wspomnienia dawnych dziejów, historii o zamordowanych mężach i kochankach-trucicielkach.

Wśród tej ponurej ciszy zabrzmiał niewinny głos:

– Czy to cygaro było bardzo długie?

Zmiana tematu była tak niespodziewana, że wszyscy obejrzeni się, żeby zobaczyć, kto mówi.

– Chodzi mi o to – wyjaśnił ksiądz Brown, siedzący w kącie pokoju – chodzi mi o to, czy to cygaro, które kończył pan Brayne, było bardzo długie? Musiało chyba być długości laski.

Mimo niestosowności pytania, na twarzy Valentina, gdy podniósł głowę, prócz irytacji malowała się też aprobata.

– Racja – rzucił zdecydowanie. – Ivane, idź, poszukaj jeszcze raz pana Brayne’a i sprowadź go tu natychmiast.

Gdy tylko totumfacki zamknął za sobą drzwi, Valentin z nowym zapałem zwrócił się do dziewczyny.

– Lady Margaret – powiedział – jestem pewien, że wszyscy odczuwamy równocześnie wdzięczność i podziw za to, że wzniosła się pani ponad przyziemniejsze poczucie god-

ności i wyjaśniła zachowanie komendanta. Ale nadal pozostaje pewna luka. Jak rozumiem, lord Galloway spotkał panią idącą z gabinetu do salonu, a dopiero kilka minut później zobaczył ogród i nadal przechadzającego się w nim komendanta.

– Musi pan pamiętać – odparła Margaret z lekką ironią w głosie – że dopiero co odrzuciłam jego oświadczyzny, więc trudno, żebyśmy wracali pod rękę. On w każdym razie jest gentlemanem, więc pozwolił mi odejść, a sam zamarudził nieco... i przez to oskarżono go o morderstwo.

– W ciągu tych kilku chwil – zauważył z powagą Valentin – mógł w istocie...

Znów rozległo się pukanie i do pokoju wsunęła się naczyniona blizną twarz Ivana.

– Przepraszam pana – powiedział służący – ale pan Brayne wyszedł z domu.

– Wyszedł! – krzyknął Valentin i po raz pierwszy zerwał się na nogi.

– Znikł. Zwiął. Rozpłynął się – potwierdził Ivan żartobliwą francuszczyzną. – Po kapeluszu i płaszczu też nie ma śladu, ale powiem panu coś lepszego. Wybiegłem z domu, szukając jakichś śladów, no i znalazłem jeden, i to spory.

– Co masz na myśli? – spytał Valentin.

– Pokażę panu – powiedział służący i po chwili zjawił się z lśniąca, obnażoną kawaleryjską szablą, na której ostrzu widniały ślady krwi. Wszyscy obecni patrzyli na nią jak rażeni piorunem, ale doświadczony Ivan mówił dalej całkiem spokojnie.

– Znalazłem to – powiedział – rzucone w krzaki, jakieś pięćdziesiąt jardów stąd, przy drodze do Paryża. Czyli,

krótko mówiąc, znalazłem ją tam, gdzie wyrzucił ją w trakcie ucieczki szanowny pan Brayne.

Znów zapadła cisza, ale jakby innego rodzaju. Valentin wziął szablę, obejrzał ją, chwilę zastanawiał się mocno skupiony, a potem zwrócił się z szacunkiem do O'Briena.

– Panie komendancie – powiedział – ufam, że okaże pan tę broń, gdyby musiała zostać zbadana przez policję. Tymczasem – dodał, z brzękiem chowając stalowe ostrze do pochwy – niech pan pozwoli, że zwrócę mu jego szablę.

Żołnierska symbolika tego czynu sprawiła, że publiczność ledwie mogła powstrzymać się od wiwatów.

Rzeczywiście, dla Neila O'Briena ten gest był punktem zwrotnym całej jego egzystencji. Zwykła poza tragicznej bezcelowości zdążyła z niego opaść, zanim w świetle następnego poranka znów błąkał się po tajemniczym ogrodzie. Był teraz człowiekiem, który ma wiele powodów, aby czuć się szczęśliwy. Lord Galloway okazał się prawdziwym gentlemanem i szczerze go przeprosił. Lady Margaret okazała się kimś więcej niż prawdziwą lady, a w każdym razie okazała się kobietą i być może obdarzyła go czymś lepszym niż przeprosiny, gdy przed śniadaniem krążyli wśród starych klombów ogrodu. Całe towarzystwo obudziło się z lżejszym sercem i bardziej wyrozumiale nastawione do świata, bo choć zabójstwo nadal było zagadką, ciężar podejrzenia został zdjęty z ich barków i umknął do Paryża wraz z ekscentrycznym milionerem – człowiekiem, którego prawie nie znali. Diabeł został wyrzucony z domu – właściwie wyrzucił się sam.

Zagadka jednak pozostała i kiedy O'Brien opadł na siedzenie ogrodowej huśtawki obok doktora Simona, bystry

naukowiec od razu wrócił do tego tematu. Nie udało się mu jednak wydusić wiele z O'Briena, którego myśli zajęte były przyjemniejszymi sprawami.

– Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to specjalnie interesowało – powiedział Irlandczyk szczerze – zwłaszcza że teraz wszystko wydaje się dość jasne. Najwyraźniej Brayne nie nawidził z jakiegoś powodu tego nieznajomego; zwabił go do ogrodu i zabił moją szablą. Potem uciekł do miasta i wyrzucił szablę po drodze. A propos, Ivan mówi, że ten zabity miał w kieszeni jankeskiego dolara. A zatem był ziomkiem Brayne'a, i to zdaje się przypieczętowanie tej historii. Nie widzę w tej sprawie nic trudnego.

– Jest pięć ogromnych trudności – powiedział cicho doktor – jak pięć wewnętrznych murów, jeden wewnątrz drugiego. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie wątpię, że Brayne to zrobił; sądzę, że jego ucieczka jest wystarczającym na to dowodem. Ale jak tego dokonał? Pierwsza trudność: dlaczego człowiek zabija drugiego człowieka wielką, nieporęczną szablą, jeśli może zabić go niemal scyzorykiem, który zmieści mu się w kieszeni? Druga trudność: dlaczego nie było żadnego hałasu ani krzyku? Czy człowiek, widząc drugiego wymachującego szablą, zwykle powstrzymuje się od komentarzy? Trzecia trudność: służący cały wieczór pilnował drzwi wejściowych; a do ogrodu Valentina z zewnątrz nawet szczer się nie wśliźnie. W jaki sposób nieboszczyk dostał się do ogrodu? Czwarta trudność: biorąc pod uwagę te same warunki, w jaki sposób Brayne wydostał się z ogrodu?

– Jeszcze piąta – odpowiedział Neil, gapiąc się na angielskiego księdza, zbliżającego się do nich wolno ogrodową ścieżką.

– To tylko drobiazg – wyjaśnił doktor – ale wydaje mi się dziwaczny. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, w jaki sposób odcięto głowę, wydawało mi się, że morderca uderzył więcej niż raz. Ale po dokładniejszym badaniu stwierdziłem, że wiele śladów uderzeń znajduje się w miejscu przecięcia; innymi słowy, zadano je potem, już po odcięciu głowy. Czy Brayne tak piekielnie nienawidził swojego wroga, że zadawał razy jego martwemu ciału w świetle księżycy?

– Okropność! – powiedział wzdrygając się O'Brien.

Mały ksiądz o nazwisku Brown zbliżył się do nich, gdy jeszcze rozmawiali i z charakterystyczną dla siebie nieśmiałością czekał, aż skończą. Potem odezwał się z zakłopotaniem:

– Naprawdę nie chciałbym przeszkadzać. Ale wysłano mnie, żebym panom przekazał nowinę!

– Nowinę? – powtórzył Simon i popatrzył na niego zza okularów nieco zboląłym wzrokiem.

– Tak, przykro mi – powiedział ksiądz Brown łagodnie. – Chodzi o to, że popełniono kolejne morderstwo.

Obaj siedzący poderwali się, aż huśtawka się zakołysała.

– A co jeszcze dziwniejsze – ciągnął ksiądz, wpatrując się tępo w krzewy różaneczników – to znów ten sam odrażający rodzaj morderstwa: kolejne ścięcie. Znaleziono drugą głowę, praktycznie wykrwawiającą się do rzeki, parę jardów dalej przy drodze, którą Brayne uciekł do Paryża, więc podejrzewają...

– Wielkie nieba! – wykrzyknął O'Brien. – Czy ten Brayne to monoman?

– W Ameryce zdarzają się wendety – powiedział beznamytnie ksiądz. – Proszą, żeby panowie przyszli do biblioteki i obejrzeliznalezisko.

Komendant O'Brien zmierzał na oględziny ostatni, czując wyraźne mdłości. Jako żołnierz, pogardzał wszelkim skrytobójstwem; kiedyż wreszcie skończą się te ekstrawagancie amputacje? Najpierw jedna odrąbana głowa, teraz druga; w tym wypadku (mówił sobie gorzko) nie było prawdą, że co dwie głowy, to nie jedna. Przechodząc przez gabinet pana domu niemal zatoczył się na widok szokującego zbiegu okoliczności. Na biurku Valentina widniała barwna ilustracja przedstawiająca trzecią skrwawioną głowę, a była to głowa samego Valentina. Drugi rzut oka przekonał komendanta, że to jedynie numer nacjonalistycznej gazety „Gilotyna”, która co tydzień ukazywała jednego ze swych politycznych przeciwników z wywróconymi oczami i wykrzywioną twarzą człowieka tuż po egzekucji; Valentin był dość znanym antyklerykałem. O'Brien był jednak Irlandczykiem i nawet jego grzechy odznaczały się swego rodzaju czystością; zettknięcie z tą brutalnością intelektu, jaką można znaleźć jedynie we Francji, sprawiło, że żołądek podszedł mu do gardła. Ujrzał Paryż jako jedną całość – od groteskowych maszkaronów na gotyckich kościołach aż po wulgarne karykatury w gazetach. Przypomniawszy sobie monstrualne żarty rewolucji. Widział całe miasto jako jeden strumień ohydnej energii, od krwawego szkicu na biurku Valentina aż po wyżyny, gdzie nad spiętrzoną gęstwiną gargulców wielki diabeł szczerzył się w uśmiechu na szczycie Notre Dame.

Biblioteka była długim, niskim, ciemnym pomieszczeniem; rozjaśniało ją jedynie różowawe światło poranka, sączące się pod nisko opuszczonymi roletami. Valentin i jego służący Ivan czekali na nich u końca długiego, pochyłego blatu, na którym leżały doczesne szczątki zamordowanego,

wydawały się olbrzymie w panującym półmroku. Wielka czarna postać i żółta twarz człowieka znalezionej w ogrodzie przedstawiały się im zasadniczo niezmiennie. Druga głowa, którą wyłowiono tego ranka spośród rzecznych wodorostów, leżała ociekając wodą przy zwłokach; ludzie Valentina nadal poszukiwali drugiego ciała, które, jak przypuszczano, dryfowało gdzieś w rzece. Ksiądz Brown, który najwyraźniej zupełnie nie podzielał wrażliwości O'Briena, podszedł do drugiej głowy i obejrzał ją uważnie, jak zwykle mrugając oczami. Niewiele można w niej było rozeznaczyć poza wiechciem siwych włosów, które lśniły srebrzyście w czerwonych, poziomych promieniach rannego słońca; twarz, robiąca wrażenie zaczerwienionej, brzydkiej i należącej być może do przestępcy, ucierpiała bardzo w zderzeniu z drzewami i kamieniami, unoszona przez wodę.

– Dzień dobry, panie komendancie – odezwał się Valentin z tłumioną serdecznością. – Zdaje się, że już pan słyszał o najnowszym rzeźnickim wyczynie Brayne’a?

Ksiądz Brown, nadal pochylony nad siwą głową, nie podniósłszy nawet wzroku, zapytał:

– Jest całkiem pewne, że Brayne uciął także i tę głowę, tak?

– No cóż, tak podpowiada zdrowy rozsądek – odparł Valentin z rękami w kieszeniach. – Zabity tak samo jak tamten. Miejsce znalezienia oddalone zaledwie o parę jardów od pierwszego. I cięcie dokonane tą samą bronią, którą, jak wiemy, Brayne porwał ze sobą.

– Tak, tak, wiem – przytaknął pokornie ksiądz Brown. – A jednak, wie pan, wątpię, czy Brayne mógłby uciąć tę głowę.

– Dlaczego nie? – spytał doktor Simon z racjonalnym błyskiem w oku.

– Hm, panie doktorze – powiedział duchowny i wciąż mrugając, podniósł wzrok na lekarza – czy można samemu uciąć sobie głowę? Nie jestem pewien.

O'Brien poczuł, że zwariowany wszechświat wali mu się na głowę; doktor jednak, w szale praktyczności, skoczył naprzód i odgarnął kłęb mokrych, siwych włosów.

– Och, nie ma najmniejszej wątpliwości, że to Brayne – powiedział cicho ksiądz Brown. – Miał dokładnie takie nacięcie na lewym uchu.

Detektyw, który wpatrywał się w duchownego błyszczącymi oczami, otworzył zaciśnięte usta i powiedział ostro:

– Wygląda na to, że ksiądz sporo o nim wie.

– To prawda – odparł z prostotą niski człowieczek. – Spotykałem się z nim od kilku tygodni. Zastanawiał się, czy nie przyłączyć się do naszego Kościoła.

W oczach Valentina rozbłysła gwiazda fanatyzmu; ruszył w stronę księdza z zaciśniętymi pięściami.

– I może – zawołał z niepohamowanym szyderstwem w głosie – może zastanawiał się także, czy nie zostawić waszemu Kościołowi całej swojej fortuny?!

– Być może – potwierdził beznamiętnie ksiądz Brown.
– To niewykluczone.

– W takim razie – krzyknął Valentin z szatańskim uśmiechem – rzeczywiście może ksiądz sporo o nim wiedzieć. O jego życiu i o jego...

Komendant O'Brien położył rękę na ramieniu Valentina.

– Albo daruje pan sobie te bzdurne oszczerstwa, Valentin – powiedział – albo szable znów pójdą w ruch.

Ale Valentin (pod spokojnym, pełnym pokory spojrzeniem księdza) zdążył już dojść do siebie.

– Dobrze – powiedział krótko – nie czas na prywatne opinie. Jesteście, panowie, nadal związani słowem, że zostanieiecie w tym domu; pod tym względem musicie pilnować samych siebie – i siebie nawzajem. Ivan poinformuje was o wszystkim, co chcielibyście wiedzieć; ja muszę brać się do roboty i napisać do władz. Nie możemy dłużej unikać rozgłosu. Gdyby zdarzyło się coś nowego, jestem w swoim gabinecie.

– Czy są jakieś nowe ustalenia, Ivanie? – spytał doktor Simon, kiedy szef policji wyszedł z biblioteki.

– Tylko jedno, proszę pana – powiedział Ivan, marszcząc swoją wyblakłą, starą twarz – ale na swój sposób ważne. Ten stary ramol, coście go znaleźli na trawniku – i wskazał, nie siląc się na szacunek, wielkie czarne ciało z żółtawą głową – przynajmniej udało się ustalić, kto to taki.

– Doprawdy! – wykrzyknął zdumiony doktor. – I kto to jest?

– Nazywał się Arnold Becker – odparł pomocnik detektywa. – Chociaż pseudonimów miał wiele. Taki wędrowny zabijaka. Wiadomo, że był w Ameryce; to tam Brayne musiał go wziąć na cel. Nie mieliśmy z nim za wiele do czynienia, bo działał głównie w Niemczech. Oczywiście, porozumieliśmy się z niemiecką policją. Trochę to dziwne, ale był jeszcze jego brat bliźniak, Louis Becker, który przysporzył nam całkiem sporo roboty. Właściwie uznaliśmy, że trzeba go zgilotynować, i zrobiliśmy to nie dalej jak wczoraj. Wiedzą panowie, dziwna rzecz, ale kiedy zobaczyłem tego gościa rozciągniętego na trawie, aż mną zatelepało. Gdybym nie widział na własne oczy Louisa Beckera pod gilotyną, przysięgłbym, że to on leży w tej trawie. Potem, oczywiście, przypomniałem sobie o jego bracie bliźniaku w Niemczech i idąc za tą wskazówką...

Ivan przerwał wyjaśnienia spostrzegłszy, że nikt go nie słucha. Komendant i doktor wpatrywali się w księdza Browna, który zerwał się na równe nogi i ścisnął skronie jak ktoś, kto poczuł gwałtowny ból.

– Dość, dość! – zawołał. – Bądźcie przez chwilę cicho, bo ogarniam tylko połowę. Czy Bóg da mi siłę? Czy moja myśl wykona ten jeden skok, by pojąć to do końca? Boże, dopomóż! Byłem kiedyś niezły w myśleniu, bywało, że umiałem sparafrazować każdą stronę ze św. Tomasza. Czy głowa mi pęknie – czy wreszcie to zrozumie? Ogarniam tylko połowę – tylko połowę!

Ukrył twarz w dłoniach i stał bez ruchu, jakby w udręce myśli czy modlitwy, podczas gdy pozostała trójka mogła jedynie gapić się dalej na ostatnie niezwykle zjawisko tych szalonych dwunastu godzin.

Gdy ręce księdza Browna opadły, ukazały twarz rześką i poważną jak u dziecka. Duchowny westchnął głęboko i oznajmił:

– Lepiej niech już raz zostanie to powiedziane i skończy się jak najszybciej. Słuchajcie, oto najszybszy sposób przekonania was wszystkich o prawdzie. – Tu zwrócił się do doktora Simona: – Panie doktorze, pan ma głowę nie od parady, a dziś rano słyszałem, jak zadawał pan pięć najtrudniejszych pytań w tej sprawie. Jeśli je pan powtórzy, odpowiem na wszystkie.

Doktorowi, ze zdziwienia i niedowierzania, spadło z nosa pince-nez, ale usłuchał natychmiast.

– No cóż, pierwsze pytanie brzmiało: dlaczego ktoś miałby zabijać drugiego nieporęczną szablą, jeśli może go zadźgać sztyletem?

– Sztyletem nie utnie się głowy – odparł ksiądz Brown ze spokojem – a do tego morderstwa konieczne było ścięcie.

– Dlaczego? – spytał z zainteresowaniem O'Brien.
– A drugie pytanie? – spytał ksiądz Brown.
– Hm, dlaczego ten człowiek nie krzyczał ani nic podobnego? – spytał doktor. – Szable w ogrodzie to dość niezwykły widok.

– Gałązki – powiedział ksiądz Brown ponuro i odwrócił się do okna wychodzącego na miejsce zbrodni. – Nikt nie rozumiał znaczenia gałązek. Dlaczego miałyby leżeć na trawniku (proszę spojrzeć) tak daleko od drzew? Nie zostały ułamane, zostały ścięte. Morderca pokazywał swojemu wrogowi jakieś sztuczki z użyciem szabli, na przykład chwając się, że potrafi przeciąć gałązkę w locie czy coś w tym rodzaju. Potem, kiedy wróg się schylił, by zobaczyć efekt sztuczki, wystarczyło jedno bezgłośnie uderzenie i głowa spadła na ziemię.

– Hm – mruknął doktor – to brzmi dość przekonująco. Ale moje dwa kolejne pytania każdego zapędzą w kozi róg.

Duchowny nadal przyglądał się krytycznie widokowi za oknem i czekał.

– Wiedzą panowie, że cały ogród zamknięty jest jak hermetyczna komora – ciągnął doktor. – A zatem, w jaki sposób obcy człowiek dostał się do ogrodu?

Bez odwracania się mały ksiądz odpowiedział:

– Nie było żadnego obcego człowieka w ogrodzie.

Zapadła cisza, a potem głośny wybuch niemal chłopięcego śmiechu rozładował napięcie. Absurdalność tego stwierdzenia wywołała głośnie docinki Ivana.

– Aha! To pewnie i my wczoraj wieczorem nie taszczyliśmy do gabinetu tego tłustego cielska? Pewnie w ogóle nie dostał się do ogrodu, co?

– Dostał się do ogrodu? – powtórzył z namysłem ksiądz Brown. – Nie, niezupełnie tak było.

– Do diaska! – zawołał Simon. – Albo człowiek dostał się do ogrodu, albo nie dostał!

– Niekoniecznie – odparł ksiądz Brown z nikłym uśmiechem. – Następne pytanie, doktorze?

– Podejrzewam, że ksiądz jest chory – wykrzyknął ostro doktor Simon – ale proszę bardzo, zadam kolejne pytanie. W jaki sposób Brayne opuścił ogród?

– Brayne nie opuścił ogrodu – odpowiedział duchowny i dalej wyglądał przez okno.

– Nie opuścił ogrodu? – wybuchnął Simon.

– Nie całkiem – wyjaśnił ksiądz Brown.

Doktor wymachiwał pięściami ogarnięty szaleńcem francuskiej logiki.

– Człowiek albo opuszcza ogród, albo go nie opuszcza! – wrzeszczał.

– Nie zawsze – powiedział ksiądz Brown.

Doktor Simon zerwał się zniecierpliwiony na równe nogi.

– Nie mam czasu słuchać tych bzdur! – zawołał gniewnie. – Jeśli nie rozumie ksiądz, że człowiek musi być po jednej albo po drugiej stronie muru, to nie będę księdza fatygował pytaniami.

– Panie doktorze – przemówił ksiądz Brown z wielką łagodnością – zawsze dobrze się nam rozmawiało. Choćby przez wzgląd na dawną przyjaźń proszę zostać i zadać mi pańskie piąte pytanie.

Zniecierpliwiony Simon opadł na krzesło przy drzwiach i powiedział krótko:

– Głowa i ramiona nosiły ślady dziwnych razów. Jakby zadanych po śmierci.

– Tak – odparł nieporuszony ksiądz Brown – zrobiono to, żeby doszedł pan do jedynego fałszywego wniosku, jaki wyciągnął pan w tej sprawie, doktorze. Chodziło o to, żeby uznał pan za oczywistość, że ucięta głowa należy do reszty ciała.

Obrzeża umysłu, na których rodzą się potwory, przebudziły się niepokojąco w celtyckiej naturze O'Briena. Poczuł chaotyczną obecność wszystkich mężczyzn-koni i kobiet-ryb, jakie stworzyła wynaturzona fantazja człowieka. Zdawało mu się, że głos starszy od głosu pierwszych praojców szepcze mu do ucha: „Nie wchodź do strasznego ogrodu, gdzie rośnie drzewo o dwóch owocach. Unikaj złego ogrodu, gdzie zginął dwugłowy człowiek”. Ale mimo że skandaliczne, symboliczne kształty nawiedzały odwieczne zwierciadło jego irlandzkiej duszy, jego sfrancuziały intelekt, wciąż czujny, śledził dziwnego księdza tak samo uważnie i z takim samym niedowierzaniem jak reszta zebranych.

Ksiądz Brown odwrócił się nareszcie i stanął na tle okna z twarzą w głębokim cieniu; ale nawet w tym cieniu widzieli, że jest blady jak śmierć. Mimo to przemówił całkiem sensownie, jakby na ziemi nie było w ogóle celtyckich dusz.

– Panowie – powiedział – nie znaleźliście w ogrodzie ciała obcego Beckera. Nie znaleźliście w ogrodzie żadnego obcego ciała. Wbrew racjonalizmowi doktora Simona nadal twierdzę, że Becker był w ogrodzie tylko częściowo. Proszę popatrzeć! – zawołał, wskazując na czarną bryłę tajemniczego ciała. – Nigdy nie widzieli panowie tego człowieka. A czy kiedykolwiek widzieliście tego?

Nagłym ruchem odtoczył łysą, żółtą głowę nieznanego i na jej miejsce położył leżącą obok głowę o siwych

włosach. I oto niezaprzeczenie leżał przed nimi cały, ponownie zjednoczony Julius K. Brayne.

– Morderca – ciągnął cicho ksiądz Brown – odrąbał głowę swojego wroga i wyrzucił szablę daleko za mur. Ale był za sprytny, by wyrzucić tylko szablę. Wyrzucił za mur także głowę. Potem wystarczyło przyłożyć do ciała inną głowę i (ponieważ nalegał na prywatne śledztwo) wszyscy wyobraziliście sobie całkiem nowego człowieka.

– Przyłożyć inną głowę! – powiedział O'Brien wytrzeszczając oczy. – Jaką inną głowę? Głowy chyba nie rosną na drzewach?

– Nie – odparł ochryple ksiądz Brown i patrząc na swoje buty, dodał – głowy rosną tylko w jednym miejscu: w koszu pod gilotyną, przy którym szef policji Aristide Valentin stał niecałą godzinę wcześniej. Drodzy przyjaciele, posłuchajcie mnie jeszcze chwilę zanim rozerwiecie mnie na strzępy. Valentin to uczciwy człowiek, jeśli obłąd z powodu wątpliwej sprawy można nazwać uczciwością. Ale czy nigdy nie dostrzeżliście w jego zimnych, szarych oczach błysku szaleństwa? Ten człowiek zrobiłby wszystko, **wszystko**, byle pokonać to, co nazywał przesądem krzyża. Dla tej sprawy walczył i głodował, a teraz popełnił dla niej morderstwo. Do tej pory Brayne rzucał swoje wariackie miliony między tyle sekt, że nie naruszały one specjalnie równowagi świata. Valentin posłyszał jednak, że Brayne, jak wielu postrzelonych sceptyków, dryfuje w naszym kierunku; a to było już całkiem co innego. Brayne wyposażyłby biedny i wojowniczy francuski Kościół w niezbędne środki; sfinansowałby sześć nacjonalistycznych gazet takich jak „Gilotyna”. Losy bitwy już wcześniej ważyły się na ostrzu noża

i to ryzyko obudziło w szefie policji fanatyka. Postanowił zgładzić milionera i zrobił to tak, jak można by się spodziewać po największym detektywie świata popełniającym swoją jedyną zbrodnię. Wyniósł uciętą głowę Beckera pod jakimś kryminologicznym pretekstem i zabrał ją do domu w swoim służbowym kuferku. Wdał się w tę ostatnią dyskusję z Braynem, której końca nie słyszał lord Galloway, a ponieważ nie przyniosła skutku, zaprowadził go do ogrodu i rozprawiając o szermierce, użył gałązek i szabli jako przykładu i...

Człowiek z blizną, Ivan, skoczył na równe nogi.

– Wariat! – wykrzyknął. – Pójdiesz zaraz do mojego pana, nawet gdybym miał cię zaprowadzić, ty...

– Ależ właśnie się do niego wybieram – przerwał mu ze smutkiem ksiądz Brown. – Muszę go poprosić, żeby się wypowiedział i tak dalej.

Prowadząc przed sobą nieszczęsnego Browna jak zakładnika albo ofiarę, wszyscy razem pospieszyli do zaskakująco cichego gabinetu Valentina.

Wielki detektyw siedział przy biurku, jakby zbyt zajęty, by słyszeć ich hałaśliwe wejście. Zatrzymali się na chwilę, a potem coś w wyglądzie jego wyprostowanej, eleganckiej, odwróconej tyłem sylwetki sprawiło, że doktor nagle skoczył naprzód. Jedno dotknięcie i spojrzenie wystarczyły, by stwierdzić, że przy łokciu Valentina spoczywa małe pudełeczko pigułek i że Valentin siedzi martwy w swoim fotelu. Na zastygłym obliczu samobójcy malowało się coś więcej niż pycha Katona.